

Zapominanie Eleny

Wydawnictwo: Biuro Literackie

Tłumaczenie: Szymon Żuchowski

Rozdział 5

Mijam położony nad morzem dom kobiety. Wiem, że niebawem i tak mam tam dotrzeć, więc krążę trochę bez celu. Ostrożnie schodzę po drewnianych stopniach na ciemną plażę. Światło księżycy zakrzywia się w parze okularów przeciwsłonecznych porzuconych na piasku. Wpadam stopą w koleinę, której nie zauważyłem, i prawie tracę równowagę. Drzę nieznacznie i opatulam się ciasniej frotowym szlafrokiem. Długie zagłębienia w piasku to pewnie ślady opon terenówki. Łagodny powiew przynosi dźwięk nagrania kobiecego głosu od strony piętrowego domu z drewna stojącego między dwoma pobliskimi pagórkami. Szuram bosymi stopami po piasku, rozgarniając sypkie złoto głupców¹. Świecący plankton. Wskakuję w niego na próbę, wzbudzając wokół siebie krąg światła: jestem jak bodhisattwa² na złotym lotosie. Truchtam przez chwilę, moje pięty zanurzają się w mokrym piachu, odwracam się przez ramię i widzę ślady swoich stóp ginące w ciemności; najdalszych już nie widać. Schylam się i nabieram garść mokrego, zimnego piasku, ciskam go przed siebie i patrzę, jak jego miniaturowe meteoryty rozdzielają się, płoną i spadają bezgłośnie na tę niewzruszoną planetę księżycowej poświaty i cieni. Ocean uderza głucho i musuje. Czuję się jak ryba wyrzucona na ląd, wdychająca parzące powietrze i spazmatycznie machająca wąsami. Ku mojemu zaskoczeniu z mroku wyłaniają się mężczyzna i kobieta, którzy przechodzą mimo. Rozmawiają cicho. Z ramion kobiety luźno zwisa niebieski kaszmirowy sweter. Trzymają się za ręce. Przed nimi drepcze piesek, ziaje wesoło, zamyka pyszczek i wystawia nos do wiatru. Nie wyczuwszy niczego, rozgląda się dookoła, żeby sprawdzić, czy państwo idą za nim, znowu zaczyna dyszeć i czmycha naprzód. Piach matowi jedwabistą sierść na jego nogach. Nie widzą mnie. Chciałbym móc do nich dołączyć albo być nim lub nią.

Ktoś stoi w oknie. Jest wysoki, wygląda jak z opery. Czy to kobieta w dziwnym szlafroku? Uśmiecha się? Czy jest martwa?

Nie, to tylko klatka dla ptaków zakryta długą tkaniną.

Otwierają się drzwi na drugim końcu werandy, pojawia się w nich głowa, a na framudze spoczywa jasna dłoń.

– Co tak stoisz? Już myślałam, że nigdy nie przyjdiesz – mówi kobieta hałaśliwie; jej głos jest zbyt wyraźny, a emocja za bardzo wycyzelowana, jakby odgrywała scenkę dla jakiegoś widza. I rzeczywiście – z wnętrza domu dobiega konwulsyjny chichot: to Maria.

¹Potoczna nazwa pirytu – pospolitego minerału (siarczek żelaza) niekiedy mylnie branego za złoto (przyp. Sz. Ż.).

²W buddyzmie: istota dążąca do oświecenia, w niektórych tradycjach: poprzednie wcielenie Buddy (przyp. Sz. Ż.).

Kobieta prostuje się i saltuje, kiedy ocieram się o nią w przejściu, co wzmaga chichot Murzynki. Gdy moje oczy dostosowują się do ciemności, dostrzegam na podłodze biały prostokąt materaca; pościel w kwiaty – czy w łóżku ktoś jest? – nie, po prostu pościel jest skotłowana. Nagły błysk, czyżby z drugiego pokoju? Odblask we włosach Marii? Nie, lustro na ścianie. Ciężka woń unosi się z futer na podłodze, ten zapach obfituje w skojarzenia. Może nasza matka je nosiła, kiedy byliśmy mali; barbarzyński, piżmowy zapach pasowałby do Valentine'ów. A może kobieta rozpyła te perfumy, ilekroć przyjmuje mężczyznę doskonałego? Jestem jej bratem czy kochankiem?

Staje przede mną twarzą w twarz z zamkniętymi oczyma. Nie wiem, czego oczekuje. Kładę jej rękę na ramieniu. Wkłada sobie moje palce do ust i liże je, jeden po drugim, wsuwa między wargi dwa, trzy, aż moje kostki dotykają jej podniebienia, a ona liże wnętrze mojej dłoni. Jej język jest szorstki. Nie otwiera powiek. Wyjmuje moją rękę z ust i kładzie ją sobie pod ubranie na prawej piersi. Chyba powinienem ją pogłaskać. Czy ja też mam zwilżyć jej dłoń i poprowadzić pod moją koszulę?

Muszę działać metodą prób i błędów. Wszystko, czego chcę, to ją zadowolić. A jednak jej rozkosz może zależeć od mojej; może jesteśmy zwierciadłami odbijającymi się w sobie nawzajem, wymieniającymi się nieobecnością?

Zdecydowanym chwytem obejmuję ją w pasie. Napiera na mnie biodrami i wygina plecy w łuk. Gwałtownie odrzuca głowę do tyłu, włosy opadają jej na ramiona. Zachowuje się tak osobliwie, że mogę tylko przypuszczać, iż to okazja dyktuje jej te nagłe ruchy, ciężki oddech i długie, milczące spojrzenia. Zwykle zachowuje się z naturalną powściągliwością, ale teraz uśmiecha się i przesuwa wargami po mojej szyi. Co ona – ona mnie gryzie!

To ostre ukłucie wydaje mi się znajome.

– A więc jesteś – szepcze. Kiwam głową. Jej głos brzmi nadspodziewanie normalnie. Przypomina mi się nasz spacer po plaży, kiedy wszystko było takie rozsądne i sensowne.

Teraz ja jestem jej sensem, ja lub moje ciało, i jej nogi, usta, piersi są moje, mogę z nimi zrobić, co zechcę. Gdzie jest Maria? Nigdzie jej tutaj nie ma. Może czmychnęła z pokoju, gdy tylko wszedłem, a może podgląda nas zza lustro na ścianie.

Kobieta zamyka oczy i przesuwa opuszkami palców po mojej twarzy, jakby była niewidoma.

– Nie mogę uwierzyć, że tu jesteś.

– Ale jestem – mówię spokojnie, współczująco, może z oszołomieniem.

– Połóż rękę na mojej piersi – nakazuje uroczyście. – Dobrze. Jest twoja. Moje ciało jest twoje. Możesz mnie zabić, jeśli chcesz. Należę do ciebie. Wiesz, co to znaczy? Mówię poważnie. Należę do ciebie.

Nie wiem, co powiedzieć. To oświadczenie najwyraźniej ją podnieca; uświadamiam sobie, że stoję w obliczu fantazji, której nie rozumiem, a kobieta ćwiczyła swoją ostatnią kwestię tyle razy, że czuje się zadziwiona, słysząc te słowa ze swoich ust. Drży od stóp do głów, kiedy dotykam jej włosów, jak gdybym napelniał jej ciało energią.

Odsuwa się ode mnie. Odwraca się do stolika nocnego, przesuwa machinalnie leżące na nim przedmioty – bransoletkę? grzebień? Nie, naszyjnik. Zakłada go przez głowę. Nuci jakąś melodyjkę, tańczy. Potrząsa głową i spuszcza wzrok. Jest bardzo nonszalancka. Obawia się, że jej oświadczenie wprowadziło mnie w zakłopotanie, gra na zwłokę. Chce wyglądać na jednocześnie zajętą i wolną, pochłoniętą tańcem, ale podatną na każdy mój kaprys. Jeśli jej dotknę, ocknie się, otworzy oczy, padnie mi w ramiona. Jak powiedziała: należy do mnie.

Płynnie porusza rękami, zwodzi i uwodzi, porusza energicznie głową w rytmie na dwa, jej ruchy są niedbałe, niezdecydowane. Być może zamyka się w sobie, ale i tak jest jak pudełko z na wpół rozwiązaną wstążką.

Ktoś, prawdopodobnie Maria, zaczyna brzdąkać na gitarze w sąsiednim pokoju, albo w kolejnym, akordy przerywane długą ciszą niweczą taniec kobiety, która zatrzymuje się w

miejscu i bawi się włosami. Osierocona, niepewna, targana emocjami, rzuca mi tępe spojrzenie. Zauważam manekina krawieckiego przy oknie.

– Co to takiego?

– Moja sukienka na królewską wizytę – odpowiada. – Obawiam się, że to tak skomplikowane jak ja.

Jest taka mała i samotna. Otaczam ją ramionami. To niezwykle krucha istota. Jestem o wiele większy, silniejszy niż ona. Ubóstwiam ją. Gdyby ktokolwiek spróbował ją skrzywdzić – ach! Czuję to, co się czuje w obliczu przeciwnika, kiedy się dyszy, gryzie. Tyle odczuć, odczuć i marzeń. Zwyczajna rozmowa jest tak manieryczna i ograniczająca, że da się wyrazić tylko odrobinę, a nawet ta odrobina ulega zniekształceniom jak roślina przerastająca ogrodzenie z siatki. Tylko w ciemnych sypialniach rozrost jest bujny i donośny. Gdyby ludzie spojrzeli na siebie z takim tragizmem na plaży, wywołałoby to głośny śmiech; ale w nocy, na osobności, nie muszą już być nonszalanczy ani oryginalni. Kiedy uprawiają miłość, są jak śpiewacy w operze. Kobieta jest primadonną – zrywa się na widok kochanka, wznosi toast, rzuca mu się na szyję i intonuje arię: „O, wróciłeś cały i zdrow!”, tyle że bezdźwięcznie. Dzięki takim konwencjom wyspiarze w ciemności mogą odgrywać swoje melodramaty.

Rozpinam jej bluzkę i przez chwilę lękam się, że popełniłem jakiś błąd, bo kobieta zakrywa piersi dłońmi. Zaraz jednak całuje mnie prędko i kładzie się na łóżku z rękami wzdłuż ciała, z otwartymi oczyma, które rzucają iskry. Klękam nad nią na materacu i postanawiam – to przedziwne! – pozwolić jej mnie adorować.

Robi to. Przesuwa dłońmi po moich bokach, bada skórę pod ubraniem, stara się ściągnąć mnie w dół, ale się opieram. A nawet więcej: patrzę na nią z naganą. Moja pogarda podnieca ją lub niepokoi, nie dbam o to. Jej oddech przyspiesza. Podnosi się, klęka i ściąga ze mnie ubranie, gorączkowo całuje moje ręce, szyję i ramiona.

Zupełnie rozmyślnie wstaję i zdejmuję kąpielówki. Nie spuszcza ze mnie oczu, jej ręka zaplątuje się w jej własne ubrania, kiedy unosi biodra, żeby ściągnąć majtki.

Oboje jesteście nadzy.

Rozważam przez chwilę, co powinienem teraz zrobić, waham się, co jest właściwe. Mógłbym przejść na drugą stronę pokoju, przykucnąć z łokciami na kolanach, oprzeć brodę na dłoni i patrzeć na nią beznamiętnie. Albo mógłbym chodzić tam i z powrotem wzdłuż łóżka z opuszczoną głową, podczas gdy ona starałaby się zdobyć moją uwagę – będąc tuż obok, lecz daleko myślami, stałbym się jeszcze bardziej godny czci, bo nieosiągalny. O ile się jednak nie myślę, skoro ludzie zdejmują ubrania w sypialniach, żeby odgrywać pantomimę swoich fantazji (co za idiotyzm!), to jaka jest moja fantazja? Jak mam przełożyć to, przez co wczoraj i dzisiaj przeszedłem, na konkretne działania, serię działań, które opowiedzą moją historię? Wyczerpanie, które silnymi palcami wpija mi się w kark i ramiona, spopiela moje lędźwie i spowalnia stopy – bez wątplenia to wyczerpanie jest znakiem, że nie żyję właściwie. Jak można być tak zmęczonym, dzień po dniu? Właściwy sposób myślenia, mówienia, chodzenia, przewidywania – o ile taki istnieje – musi być o wiele łatwiejszy.

Skoro zatem mój sposób jest zbyt wyczerpujący, żeby był właściwy, to powinienem być w stanie udramatyzować swoje błędy, przekuć pomyłki w szaradę albo hieroglify. A jeśli mi się powiedzie? Może wtedy z kolei ona zaprezentuje swoją pantomimę. Wiem, co muszę zrobić: dać przedstawienie.

Wywracają mi się wnętrzności. Patrzę na swój brzuch, żeby sprawdzić, czy skóra się marszczy, czy mnie zdradza. Nie, jestem bezpieczny.

Kobieta zakłada ręce za głowę, jej małe piersi unoszą się i spłaszczają, z dwóch pomarańczy zamieniają się w dwie gruszki. Nerwowo opuszcza dłoń – jedna pomarańcza plus jedna gruszka – i kładzie ją przy szczelinie między nogami. Coraz słabiej widzę jej długie palce, które zadomawiają się w gniazdku włosów jak jakiś wodny ptak.

– Skoro nie chcesz... – mówi z lekkim rozdrażnieniem.

– Co mam zrobić?

– Dasz mi się przynajmniej potrzymać?

Posyłam jej krótki uśmiech, nie wiem, czy z zakłopotania, czy po to, żeby go odwzajemniła, otworzyła bezpieczną drogę do bliskości, ale za moment nadaję mojej twarzy nieprzenikniony wyraz. Cały sekret uprawiania miłości polega na tym, żeby pominąć kolejne stopnie, zasłone dymną ze słów, uśmiechów i gestów, które zwykle w towarzystwie nadają konwencjonalne ramy wszystkim zdarzeniom. Muszę zdecydować, co mam zrobić, a następnie uczynić to, bez uprzedzenia i bez przeproszenia. To nie jest kwestia wzajemności; to kwestia sprawstwa. Kładę się przy niej, całuję jej wargi i zamierzam rozsmarować ten pocałunek po całej długości jej ciała, do szczeliny, do kolan, aż do podeszew jej stóp. Przenoszę jednak uwagę na jej włosy, chcę, żeby spłynęły na mnie kaskadą. Kładę ją na sobie, a jej włosy spadają ulewą na obie strony mojej twarzy.

Powoli porusza głową, przesuwając włosami po moim policzku, a potem po drugim. Kieruje się ku dolnym partiom mojego ciała, ale niczym pielgrzym zmierzający do świątyni robi postoje w przydrożnych schronieniach, żadnego nie pomija, rozgascza się w każdym. Chwyta mojego zwiotczalego członka, bierze go do ust i obraca językiem wokół czubka. Liże go, próbuje wziąć głębiej – oto jej pantomima, tylko co chce przez nią wyrazić? Może widziała, jak oglądam swój wzwód przy Oddalonej Rezydencji, i teraz chce mi pokazać, że wie, iż to narzędzie mojej samotności. Łącząc się z nim ustami, chce powiedzieć, że nie jestem już sam. Jesteśmy razem.

Z drugiej strony może czubek mojego członka symbolizuje samą Rezydencję, podtrzymująca go kolumna odpowiada ziemi, na której stoi, a ruchy języka kobiety kpią ze mnie, każde liźnięcie jest subtelną wymówką: na tym wykresie we współrzędnych walcowych wskazuje kolejne miejsca, które zaniedbałem przy grabieniu. A może udziela mi niemych wskazówek dotyczących mojej jutrzejszej pracy, mówiąc w rzeczywistości: idź tu i tu, Herbert powie ci, co masz zrobić, a potem grab...

Twardnieje? Tak, a ją jeszcze bardziej podnieca to wzrastanie (niczym rozszerzanie posesji Rezydencji?). Och, kochany, mówi i z nowym zapałem wraca do swoich wysiłków. Może tak naprawdę poszukujemy bólu albo przynajmniej odczucia w połowie drogi między bólem a przyjemnością, gdyż, prawdę powiedziawszy, trudno by mi było opisać uczucia towarzyszące tej erekcji. Podobne umiejscowienie podpowiadałoby, że jej szczelina jest odpowiednikiem mojego przyrodzenia, ale skoro tak, to jaka część mnie odpowiada jej piersiom? Czy to możliwe, że – zlakniona doznań – połknęła lub wstrzyknęła sobie jakiś środek, od którego jej piersi stały się wrażliwsze i bardziej nabrzmiące?

Kiedy to się skończy? Czy mamy tak lizać i masować się nawzajem, dopóki nie opadniemy z sił, czy też nastąpi jakiś sygnał zwiastujący koniec? Może Maria się znudzi i nam przerwie, ale jak na razie jej gitara brzmi tak samowystarczalnie, jakby mogła grać wiecznie. Może nadchodzący świt nie przysłuży się naszym manewrom, a może kobieta będzie się stawać coraz bardziej udręczona, aż poczuje, że ma dosyć, lub zakończy z góry określony cykl w z góry określonym punkcie?

Ześlizguje się ze mnie, przekręca na plecy i wsuwa poduszkę pod biodra. Bardzo ostrożnie i delikatnie wyciąga spomiędzy zębów włos, najpewniej mój. Rozkłada nogi. Rozumiem wreszcie, czego oczekuje, i wchodzę. Jest tam ciepło. Liczy na coś więcej? Jakiś ruch? Tak, zaczyna poruszać miednicą w przód i w tył.

Dostosowuję się do tego rytmu, unoszę biodra, po czym zagłębiam się w nią, nabieram jednostajnego tempa, podczas gdy jej ręce, niepewne i nieprzytomne, omiatają moją twarz, muskają moje policzki, drapią brodę, w nagłych spazmach napierają na moją klatkę piersiową, aż wreszcie z głośnym uderzeniem opadają na materac raz i drugi. Kochany, kochany, szepcze, ani razu, ani jednego razu, nie zwracając się do mnie po imieniu.

Wzbiera we mnie przerażające ciśnienie. Nie mam pojęcia, co to takiego, zastanawiam się, czy powinienem przestać, ale nie przestaję, nie potrafię, poruszam się coraz szybciej. Kropla, dwie, trzy krople potu skapują z oboju mojego obojczyka na szyję kobiety, ale widocznie jej to nie przeszkadza, zbiera dłonią te trzy krople, ten tercet, i smakuje łączywie. Z jej gardła wydobywa się chropowaty głos, kiedy wykręca szyję to w prawo, to w lewo. Wtem dźwięk cichnie, jej ciało wypręża się i zaraz rozluźnia, a usta układają się w doskonały okrąg. Wstrzymuje oddech i wydaje z siebie tylko jedno pełne zdziwienia „och”.

Boję się, że zrosiła mnie jakąś parzącą cieczą, a może płyny jej ciała są wrogie mojemu? Jakkolwiek by było, wiem, że coś jest bardzo nie w porządku, ból; gdybym mógł się dokładnie obejrzeć, na pewno znalazłbym krew. Może zaspokojenie tej kobiety wymaga mojego cierpienia. Z naszych ciał unosi się ostry zapach – ostry, ale ciekawy. Czy ja naprawdę puchnę, powiększam się, czy tylko to sobie wyobrażam? Wolałbym, żeby się to skończyło. Wcale mi się to nie podoba. Nawet jeśli to, co właśnie zaszło, było całkiem zwyczajne, jestem pewien, że nie zrobiłem tego, jak trzeba. Jestem zły, to jest złe, nic dobrego z tego nie będzie. Serce wali mi jak oszalałe, a na ramieniu pulsuje żyła. Mój oddech osusza wilgoć na jej twarzy. Wolę bardziej przeciętne wrażenia. Czy ona mnie zabija? Czy ja umieram? Taki ból. Zaraz zacznę krzyczeć, jeśli...

Wybucham i szlocham na jej piersi, niezdolny dłużej utrzymywać pozorów, wycieńczony ciągłą niewiedzą, nareszcie świadomy, że to, czego ona i cała reszta ode mnie oczekują, jest nie do zniesienia.

– Czemu żądasz tak wiele? – pytam. Nie powinienem był tego powiedzieć. – Nie jestem w stanie dać z siebie więcej. – Nie powinienem był tego powiedzieć.

Odsuwamy się od siebie i odwracamy. Moje ręce i nogi drżą spazmatycznie. Kobieta kuli się, podkłada rękę pod głowę, przygląda mi się spokojnie i uśmiecha.

– Myślę, że właśnie dałeś mi wszystko, czego mogłam oczekiwać.

Śmieje się i wyskakuje z łóżka, szczupła i dynamiczna. Znalazłszy ręcznik, wraca szybko do mnie, przysiada na krawędzi łóżka i powoli, troskliwie wyciera moje ciało z potu. Chociaż dotyka mnie między nogami bardzo delikatnie, skręcam się z bólu – jeszcze większego niż przedtem.

– Powiedz, kim jestem? Kim ty jesteś?

Śmieje się.

– Nie drocz się – mówi.

– Nie, ja muszę wiedzieć. Kim jestem?

– Kochany – odpowiada i potrząsa głową, z jakiegoś powodu urażona – kochany, masz doprawdy dziwaczne poczucie humoru.